3 V 2015 r.

Drogi Saszeńka, kochany przyjacielu!

Zdaje mi się, jakbyś wczoraj przyszedł na ten boży świat. Zdarzyło się to pewnego wiosennego poranka po całej nocy cierpień i bólu, które musiała przejść twoja matka, byś mógł poznać piękno stworzenia. Zaledwie słoneczko musnęło ospałą i pokrytą poranną rosą ziemię, a rozległ się Twój pierwszy krzyk, który wywołał szczere, radosne łzy na twarzach twoich rodzicieli. Już kilka dni później niebiosa posłały mnie do niewielkiej cerkiewki w pobliskiej wsi. Przysiadłem na jednej z kopuł, z ciekawością zaglądając przez witrażowe okna i przyglądając się, jak kapłan polewa Cię żywą wodą i chrzci w imię Trójcy Świętej. Zakwiliłeś cichutko, czując chłód świętej wody, ale już po chwili znów spałeś w ciepłym kocyku. I wtedy właśnie zaczęła się nasza wspólna przygoda.

Pamiętam dokładnie każdą chwilę, którą przy Tobie spędziłem. Tak jak mi przykazano, nie opuszczałem Ciebie na krok i strzegłem najbardziej, jak tylko potrafiłem. Delikatnie bujałem kołyskę, gdy Twoja matka ciężko pracowała w polu. Czasem zachlipałeś cicho, gdy promienie cieplutkiego słoneczka na chwilę wybudziły Cię ze snu, lecz wystarczyło, że zanuciłem choć kawałek znajomej Ci kołysanki i znów spałeś słodko. Bywały noce, które pozostawały nieprzespane i dla Ciebie, i dla twej matki. Kołysała Cię do późnej godziny, a gdy zasypiała zmęczona przy Twej kołysce, okrywałem ją kocem, a Ciebie brałem w swoje ramiona i kołysałem delikatnie, dopóki nie zmorzył się sen. Kiedy noc była zimna, a piec ostygał, okrywałem Cię miękkim puchem skrzydeł, a wtedy zasypiałeś słodko wtulony we mnie, z malutkimi paluszkami czule zaciśniętymi na moich piórach.

Im większy byłeś, tym więcej było moich obowiązków. Podążałem za każdym Twoim krokiem i gotów byłem strzec Ciebie wszędzie, jak mi przykazano. Kierowałem Twe nogi ku miękkiej trawie zamiast ku ostrym kamieniom. Własnymi dłońmi zrywałem wszystkie ciernie z Twej drogi, by nie zraniły Twoich niewinnych stópek i nie zabrały z Twej twarzy pięknego uśmiechu, który tak bardzo mnie cieszył. Czasem łapałem Cię w ostatniej chwili, gdy podczas mojej nieuwagi wspinałeś się na drzewo, a stary konar uginał się pod Tobą niebezpiecznie, omal nie sprowadzając mnie na drugi świat. Wędrowałem za Tobą całe dnie, mocno trzymając za Twoją rękę, prowadząc Cię po samych bezpiecznych drogach, gdy zwiedzałeś z ciekawością świat. Kiedy powracałeś zmęczony do domu i o zmroku układałeś się do snu, klęczałem przy Tobie i wraz z Tobą szeptałem ciche słowa pacierza.

A potem przyszła najstraszniejsza z plag, która rozsiała strach po krańcach ziemi. Przyszła wojna.

Choć żal było Ci opuszczać ukochany dom zabaw dziecinnych, podążyłeś za rodzicami w tę niekończącą się wędrówkę. Zazwyczaj biegałeś wraz z innymi dziećmi na początku korowodu, z tak wielką ciekawością podziwiając nowe widoki, że ledwie byłem w stanie dotrzymać Ci kroku. Zmartwienie, które gościło w sercach starszych osób, było całkowicie Ci nieznane. Choć wędrówka dłużyła się i była ciężka, sprawiała Ci nieoczekiwaną radość, jakbyś na samym końcu miał nareszcie otrzymać szczęście. Nie wiedziałeś, co Cię czeka, a jednak naprawdę miałeś u kresu tej wędrówki stać się szczęśliwym. Lecz najpierw przyszło Ci się zmierzyć z tym, czego nigdy nie powinno przeżyć żadne dziecko. Z głodem, chorobą, łzami, płaczem i samą śmiercią…

Najpierw Wszechmogący zabrał Twoją babkę. Nie widziałeś tego, i chwała Bogu, bo biegłeś wtedy wraz z innymi dziećmi, całkowicie nieświadom tragedii, która spotkała Twoją rodzinę. Przynajmniej to jedno nieszczęście pozostało Ci nieznane oraz nie przeważyło i tak pełnej już szali goryczy, którą przeżyłeś podczas tej wędrówki. Dopiero gdy choroba odebrała Ci ojca, poznałeś te ciemne strony wyprawy. Dzielnie powstrzymywałeś łzy i mocno trzymałeś się ręki płaczącej matki, kiedy chowano zwłoki Twego drogiego „papy” w bezimiennym grobie. Choć przeżyłeś już tak wiele, najcięższe chwile były dopiero przed Tobą.

Przepraszam, że nie potrafiłem Cię nakarmić, gdy płakałeś z bólu, który zadawał Ci bezlitosny Głód. Przepraszam, że nie potrafiłem Cię unieść, kiedy Twoje bezsilne nogi opadały samoczynnie i padałeś na ostre kamienie, rozbijając swoje delikatne kolana. Przepraszam, że nie potrafiłem otrzeć Twych łez, kiedy krwawiące rany sprawiały Ci ból. Przepraszam, że nie potrafiłem powstrzymać Choroby, która w końcu chwyciła Cię w swoje odrażające łapska i kazała Ci się dusić oraz przeżywać gehennę. Przepraszam, że nie potrafiłem ulżyć Ci, kiedy kaszel ściskał Twoją malutką pierś, a ciało powoli odmawiało Ci posłuszeństwa. Przepraszam, że nie potrafiłem powstrzymać Śmierci, która po tak długim cierpieniu w końcu otuliła Cię swymi lodowatymi ramionami i zaniosła prosto przed oblicze Wszechmogącego.

Wiedz jednak, że Twoja malutka siostrzyczka wraz z matką dotarły do końca tej wędrówki. Zostały przyjęte przez dobrą rodzinę daleko na Wschodzie, a po wielu latach wróciły na rodzime tereny, by odbudować swoje dobytki i poskładać od nowa rozbite życie. Nigdy o Tobie nie zapomniały i co niedzielę stawiały za Ciebie świecę w cerkwi wraz z krótką modlitwą o pokój dla Twojej duszy. Choć nie pamiętał świat, pamiętały one. I pamiętam ja.

Czasem przysiaduję na jednym z drzew ponad Twoją mogiłą i wspominam nasze dawne czasy. Brzozy szumią cichutko, a mnie się wydaje, jakbyś śmiał się nad swoją mogiłką, znów poznając – jak zawsze – z ciekawością boży świat. Choć żal ściska serce, wiem, że jesteś w dobrym miejscu. Jesteś u Niego, Stwórcy wszelkiego stworzenia, który za całe Twe cierpienie odpłaci Ci szczęściem, którego tak bardzo pragnąłeś, gdy wyruszałeś na tę ostatnią w Twoim życiu wyprawę. Pozostaje mi jedynie pożegnać Cię, lecz nie na zawsze. Nie powiem: „Żegnaj”. Powiem: „Do zobaczenia wkrótce”.

A więc do zobaczenia wkrótce, drogi Saszeńka. Do zobaczenia wkrótce.

Twój Opiekun i Przewodnik. Twój Przyjaciel i Pocieszyciel.

Twój Anioł Stróż